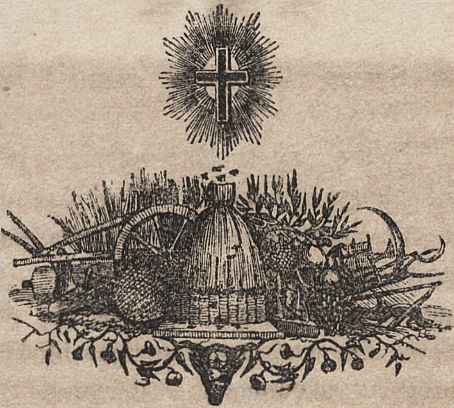
Tom V. Nr. 5.

11. Sierpnia. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Matka Boska zielna.

(Na dzień 15go Sierpnia.)

Po męczeńskiej śmierci Jezusa Chrystusa, Syna Boga żywego a Zbawiciela naszego, została Najświętsza Panna, Mateńka Jego, w mieście Jeruzalem. Pokorna i cierpliwa w boleści swej macierzyńskiej, chwaliła przedwiecznego Boga i nie szemrała, a owszem stała się wielką pociechą dla Apostołów i wiernych Chrześcijan: jako gwiazda niebieska świeciła im swoją dobrocią i łagodnością, jako zorza poranna witała ich zawsze uśmiechem niebiańskiej czystości.

Tak mijał rok za rokiem od Wniebowstąpienia Chrystusa Pana, gdy oto po kilku latach nastało wielkie prześladowanie wiernych w Jeruzalem. Więc Jan Apostoł ujął Marję Pannę za rękę, i odprowadził ją do Efezu, kędy wiara święta bardzo się już rozszerzała. Niezadługo atoli powróciła boleśna Matka do Jeruzalem, a wspominając często na Syna swego jedynego, przesiadywała na górze Oliwnej, i tam w gorących modlitwach wznosiła się myślą do nieba.

Tak zatopioną w niebiańskich myślach, i pragnącą połączyć

się z najmilszym Synem i Bogiem, zaszedł ją raz Archanioł Gabriel i rzekł:

— Bolesna Matko Syna Bożego! za trzy dni będziesz podwyższona nad chóry anielskie. — A byłoć to właśnie we trzynaście lat po Wniebowstąpieniu Zbawiciela naszego, i miesiąc Sierpień miał się ku połowie.

Trzy dni mijało od owego ukazania się posłańca Bożego, Gabriela, a Królowa dziewic, przeczuwając bliskie połączenie się z Bogiem, usiadła na skromnem i ubogiem łożu, a w około postawali Apostołowie i grono wiernych z zasmuconem wejrzeniem. Matka Boża odzywa się do nich słowami niebieskiej pociechy, i do wytrwania i wierności Chrystusowi zachęca; a gdy oto słowa złote z najmilszych ust cieką, światłość jakaś dziwna i wonna napełniła izbę. Wtedy Marja wzniosła anielski wzrok ku niebu, a uśmiech słodki igrał jej po twarzy, bo w światłości ujrzała Syna najmilszego, jak otoczony chórem Aniołów zstępował do biednej izdebki Więc w chwili tej szczęśliwej ciało jakoby usnęło, a dusza wyszła zeń i poleciała na łono przedwiecznego Boga.

Otoczyli nazajutrz wierni ubogi domek Najświętszej Panny, a znosili najdroższe pachnidła i płótna najcieńsze do pogrzebania Królowej dziewic. Wnet wedle zwyczaju złożono drogie zwłoki na marach, otoczono pachnidłami, i okryto je wspaniałą zasłoną. I w głębokim smutku nieśli je Apostołowie na barkach w dolinę Jozafata, kędy u samego podnóża góry Oliwnej grób był już wykuty. W płaczącym orszaku postępowali wierni Chrześcijanie, a pobożne niewiasty wysłały kwiatami i zioły kamienną pieczarą. Tam to na łożu z kwiatów, złożono drogie zwłoki Królowej dziewic, i zastawiono otwór kamieniem.

Trzy dni modląc się czuwali u grobu wierni Apostołowie, i przez trzy dni słyszeli anielskie pienie w około. Aż oto trzeciego dnia przybył Tomasz apostoł, i nieutulony w smutku że się spóźnił, odezwie się do innych:

— Pokażcież mi bracia najmilsi prześwięte zwłoki Matki Chrystusa, abym je płacząc pożegnał.

Więc Apostołowie odwalili kamień, zamykający wejście do grobu, ale znaleźli tylko kwiaty i zioła, na których spoczywały

zwłoki Marji Panny, i jej białą chustkę z cieńkiego płótna, cudny ze siebie wydającą zapach. Wnet zrozumieli wierni, że Zbawiciel nie chciał oddać ziemi ciała najukochańszej swej Matki, i rozkazał, aby z duszą razem do nieba było wzięte.

Stało się to piętnastego Sierpnia w 45 lat po narodzeniu Chrystusa Pana. Na tę więc pamiątkę obchodzimy co roku ten dzień Wniebowzięcia N. Maryi Panny, które to święto w całej polskiej Ziemi Matką Boską zielną nazywają, od onych ziół i kwiatów, na których zwłoki najświętsze złożono.

W owem miejscu gdzie jest grób przeczystej Panienki, stoi do dziśdnia kościół, cały prawie w ziemi zbudowany. Pięćdziesiąt schodów murowanych prowadzi do wnętrza świątyni, kędy się nagle wspaniałe sklepienie odkrywa, na którem dzień i noc jak gwiazdy niezgasłe dwadzieścia lamp płonie. Kościół jest w kształcie krzyża zbudowany; po prawej stronie, na samem jego podnóżu jest grób Marji Panny wycięty w żywej skale, a przed nim unoszą się wonne obłoki kadzideł.

Ubrani w wieńce i równianki z kłosów, ziół i kwiatów, spieszmy do Świątyni Pańskiej oddać pokłon przeczystej dziewic Królowej: — O Marjo, matko prawdziwego Boga, użyźniaj nasze łany, strzeż pól i dostatków naszych, a wstawiaj się za nami do Boga Ojca i twego Syna jedynego, byśmy z modlitwą na ustach żyzną uprawiali ziemię, a ona stokrotne plony nam dawała. Marjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen. —

SIEROTA.

Świeci słońce, świeci,
Pada deszczyk złoty —
Tyleć tutaj szczęścia
Dla biednej sieroty.

Zaszło słońce w chmury,
Powiał wiatr ponury —
Rusza w świat niboga,
Gdzie powiedzie droga.

— „Czy w prawo czy w lewo
Ścieżka mnie powiedzie,
Przecie kiedyś Pan Bóg
Zrobi koniec biedzie;

Przecie kiedyś Boże
Biedną główkę złożę,
Ptacy wezmą ciało —
Anioł duszę białą.“

*

Zimny wiater wieje,
A krzemienna droga —
Obdarto i boso
Idzie w świat nieboga.

A gdzie spotka ludzi,
To milcząco idzie,
A gdzie Boża męka,
Do paciorka klęka.

Idzie, idzie, i tak
Myśli sobie biedna:
— „Gdyby się schyliła
Do mnie ręka jedna!

Gdyby na mnie biedną
Padło oko jedno,
I spojrzało mile,
Ot, tylko na chwilę!"

W tem z kościółka z wieży
Gdzieś na Anioł dzwonią,
I jak posły Boże
Słodkie dzwięki gonią.

Dziewczę rączki składa,
Na kolana pada,
Biedę zapomniało,
Bogu zaśpiewało.

A wciąż gdzieś z daleka,
Jasny dzwonek dzwoni,
Jakby wołał biedną,
Chciał coś mówić do niej.

Wstała, i o biedzie
Zapomniawszy, idzie,
I śpiewa wesoło,
Aż głośno wokoło.

R. z W.

Ślepy dziad.

Skulony, oparty na kuli pod prawą ręką i na oczy ciemny, że tylko co nie co widział przed sobą, szedł raz dziad jeden przez wieś, a prowadził go mały chłopiec na lasce, którą za końce trzymali oba rękami swemi. Dziad sunął się powoli na kuli, miał dwie torby przy bokach, głowę łysą, a na czole zmarszczki, bardziej ze zgryzoty niż starości lub biedy. I pytał się chłopca.

— Ty chłopcze! gdzieto my teraz chodzimy? Co to za wieś?

A chłopiec mały nazywał mu wsie i miasta, kędy przechodzili, tak jak wiedział i jak mu gadano.

To znowu pytał się chłopca:

— A ktoto teraz przeszedł koło nas i gadał z nami?

A chłopiec mały opowiadał mu, czy przechodził żyd czy chłop jaki; opowiadał tyle, ile potrafił. To znowu usłyszał dziad dzwony i śpiewy żałobne i pytał chłopca:

— Co to takiego? czemu tak krzyczą i dzwonią?

A więc chłopiec mały gadał mu, że to jakiś pogrzeb, że

to ludzie płaczą, że księża prowadzą trumnę na cmentarz. A dziad ślepy stanął na to jak wryty; założył ręce stare i suche na piersiach, pokiwał łysą głową i coś mruczał i mruczał i wzdychał, i kazał się prowadzić na cmentarz. Gdy go chłopiec zaprowadził na cmentarz, dziad położył kulę, zdjął torby z siebie i ukląkł koło grobu, w którym niedawno pochowano kogoś, i zaczął lamencić, narzekać i tak wygadywać:

— Ah Boże! czemu ja żyję, kiedy moi wspólnicy już dawno pomarli? Czemu ja tylko jeden takie kary ponoszę kiedy nas kilkoro razem ciężkie grzechy popełniało? Czemu ja ciemny, kulawy i ukarany na całem ciele włóczyć się muszę po wsiach i to już przeszło dwadzieścia lat! Czyż ja już nigdy nie skończę tej biedy i kary?

I krzyczał dziad, a głos jego rozchodził się po całym cmentarzu, i zdawało się, że się aż gdzieś umarli w grobach ruszają. Ludzie co byli na pogrzebie, obstąpili dziada, a każdy zapłakany dziwił się strasznym słowom jego i przypatrywał się, co to stary robił. A on bił głową o ziemię, i natrafił czołem na jakąś kość umarłego, i skaleczył sobie strasznie czoło i wołał skrwawiony:

— Oj! kiedyś tak umierali z mojej winy! Ja ich nie zabił ani siekierą ani nożem, alem ich pokrzywdził i do ostatniej nędzy doprowadził, że oni tak chodzili po żebrach jak ja teraz, i pomarli na obcej wsi, a ja pokutnik żyję i żyję....

Ludzie potruchleli na taką mowę, bo ich litość brała nad staruszkiem i żebrakiem ciemnym, a tu aż strach po kościach każdemu latał, bo uważał sobie po tej mowie dziada, że na nim ciężą jakieś wielkie grzechy. I nuż niejeden ciekawy pyta dziada, gadając mu pięknie:

— A cóżto takiego zrobiliście dziadku, że tak narzekacie na siebie i na samego Boga?

A dziad odpowiadał ludziom:

— Oj opowiem ja wam, co to ja zrobił, abyście mieli naukę i przestrogę na całe życie, aby się piąty i dziesiąty kaił i nie robił tak. —

I zrobiło się cicho, bo ludzie stali na poświęconem miejscu,

i zresztą ciekawi byli, za co to dziad pokutuje już przeszło lat dwadzieścia, i każdy też słuchał. A dziad tak opowiadał:

— Miał ja ci brata jednego; ojciec podzielił nas gruntem i swoją pracą, obaśmy się pożenili, dzieci dał nam Bóg kilkoro; było nam długo dobrze, aż oto umarł mój brat dobry, zostały sierotki z matką, a mnie zrobił urząd opiekunem tych dzieci. Byłem ja pobożnym i nie złym człowiekiem, ale coś złego opanowało moją głowę, i jakiś zły duch podsunął mi tę myśl bezbożną, aby obedrzeć sieroty po bracie rodnym, te sieroty, co mnie każde rano nazywały stryjaszkiem swoim, i nieraz wieszały się koło mojej ręki i szyi....

Zaczął mocno dziad płakać, zakrył bladą twarz rękami i nachylił się ku ziemi, a jeden z ludzi zapytał:

— No, i cóżeście zrobili z temi sierotami, co was miały za ojca, i coście zrobili z ich gruntami?

Dziad gadał dalej:

— Był testament po bracie, ale mnie podmówił jakiś pisarz, abym sfałszował testament brata, i wyskrobaliśmy podpisanych świadków a napisali takich, co już dawno pomarli. Było tam dwa tysiące reńskich dla dzieci, a my wyskrobaliśmy jedno oko i zostawili tylko dwieście, a co było przeznaczone każdemu z sierot, tośmy wszystko przerobili na moje dzieci, i tak my ułożyli testament, że cały grunt i zabudowanie miały spaść na mnie, a sieroty miały mieć tylko do nowego chleba u mnie przytułek, i te 200 reńskich.

Potruchleli ludzie na taką mowę, której słuchali na cmentarzu, gdzie już umarli spoczywają i zostali osądzeni od pana Jezusa, boć każdy musi raz umierać i sąd boży przebyć. — Ale jeden gospodarz spytał się:

— A cóż się stało z temi sierotami i ich matką?

Dziad trząsł się cały i gadał:

— Matka chodziła z dziećmi tak, jak ja dziś chodzę z tym małym chłopcem. Dziś jej nie ma, Bóg wie, na którym cmentarzu ona leży, a sierotki po bracie jam po roku skończonym powyganiał z domu, chałupę rozebrali ludzie, a grunt został przy mnie. Gdzie są te sieroty, ja nie wiem, ale pewnie pomarły z biedy, bo nic a nic nie słychać o nich.

Rozpłakali się ludzie przy tych słowach, boć tu każdy gospodarz miał niejedno dziecko w domu, boć niejeden z nich doznał nie raz krzywdy od drugiego, i niejeden pomyślał sobie:

— Cóż się też stanie za rok i zemną albo z mojemi dziatkami? Gdzie one się będą obracać?

Lecz inny gospodarz zapytał znowu:

— A cóż się stało z waszemi wspólnikami dziadku? co z temi fałszywemi świadkami i z onym pisarzem, który doradzał do tego wszystkiego?

Dziad opowiadał dalej:

— Co się ze mną stało, to widzicie na własne oczy! Oto złamał mi we dwoje rękę pan Jezus, którą skrobałem testament i fałszywie pisałem na nim, kula pod nią dziś i już tak od dwudziestu lat jest! Złamał mi pan Jezus i nogę jedną za karę, żem chodził za tem aby ukrzywdzić sieroty biedne! Zamknął mi oczy obie, i już nie widzę świata bożego ani ludzi; pomarły mi wszystkie dzieci, tylko został wnuczek, i to jest ten chłopiec, który mnie dziś do was na kiju przyprowadził. Wziął pan Jezus i majątek sierocy i do tego mój cały majątek, a ja dziś ostatni żebrak pogardzony, zgryziony, odarty i krzywy i ślepy, chodzę za pokutę po tym świecie. O Boże mój, weź mnie z tej ziemi!

Strach wielki przeszedł po ludziach wszystkich, boć to już nie raz pokarał pan Jezus krzywdzicieli, ale tego dziada skarał strasznie, bo już dwadzieścia lat żyje i chodzi między ludźmi i gada im straszne rzeczy; wyżółkł jak trupia kość, a teraz już raczkuje jak małe dziecko po ziemi, i tak chodzi od chałupy do chałupy i żyje na dowód sprawiedliwości Boga. —

Ale spytał go jeden gospodarz:

— No! a cóż się stało z drugimi?

Dziad zaczął znowu:

— Pisarz, co mi pisał, umarł w kryminale; robactwo go żywego stoczyło, a na trumnę i koszulę śmiertelną składali się wszyscy kryminaliści. Żona jego służy dziś za kucharkę, a dzieci rozeszły się gdzieś po ludziach, ale ludzie wytykają im zawsze ojca szachraja, jakiego świat nie widział i to, że umarł między złodziejami w kryminale, choć tam dzieci niewinne temu. Świadkowie podpisani już i tak nie żyli, a inni co fałszywie za

mną a na biedne sieroty przysięgali, pomarli do roku co do jednego, bo taka jest kara boża, że rzadko który przeżyje rok po fałszywej przysiędze, a ich praca rozlazła się jak-by kto po niej jeździł i deptał, i dziś nie ma czem i palca owinąć. Wszyscy moi wspólnicy, co mi doradzali do tego, co razem pili z nami, co się cieszyli, co mi przychwalali i wygadywali na sieroty, wszyscy już w ziemi świętej, już po sądzie bożym. A gdzie tam ich dusze? Czy tak spokojne, jak kości w tych grobach? Ja tylko żyję jak upiór i chodzę i chodzę, i szukam grobu, a grobu nie ma dla mnie; może gdzie trza umierać pod płotem! Może mnie tak będą przeklinać ludzie, jak tamtych? Ale wy ludzie dobrzy, nie przeklinajcie mnie, ale raczej proście Boga za mną, aby mi darował karę i skrócił mi dni moje! Wy ludzie dobrzy bierzcie sobie przykład zemnie dziada ciemnego i nie róbcie nikomu żadnej krzywdy!

I osłabł dziad z tej mowy, a ludzie wszyscy poklękli na cmentarzu koło niego, zmówił każdy paciorek za dziada grzesznego, potem za dusze sierót i wszystkich ich gnębicieli. Każdy ocierał sobie oczy, każdy dumał sobie rozmaicie, jakie to są sądy boże na tej ziemi, że jednym jakoś uchodzi wszystko złe a drugim nic nie ujdzie, a zawsze prędzej czy później dotknie każdego ręka Boga sprawiedliwego za jego sprawki.

I rozeszli się gospodarze i gospodynie do domu, i dziad podźwignął się, a chłopczyk podał mu koniec laski do ręki, a sam wziął za drugi koniec i poprowadził dziada pokutnika na dalszą poniewierkę. A gdzież jest ten dziad teraz? Oto niedawno wyspowiadał się z całego życia, osiadł przy jednym kościele pod imieniem pokutnika, żył jeszcze długo i już się ani przechodzić nie mógł, i umarł tak przy drzwiach w kościele, że nikt o tem nie wiedział. Gromada złożyła się na trumnę, jeden gospodarz dał płótna na koszulę śmiertelną, ksiądz go pochował jak się patrzy; i już osądzony na tamtym świecie, on co tyle ludzi przez jego grzech marnie poszło ze świata, co tyle złego pozostało po nich, i kara boża tak widoczna! A jego wnuczek stanął na służbę we dworze, i zrobił się z niego bardzo dobry człowiek, i znowu mu pan Jezus błogosławi i będzie z niego coś dobrego, jeżeli nie odstąpi od woli pana Jezusa.

A ja wam też moi kochani ludkowie to opowiadam, abyście mieli zawsze w sercu pana Jezusa, i nikogo nie krzywdzili, ani namowy do tego nie słuchali.

Ks. Wojciech z Medyki.

PIĘKNE PRZYKŁADY.

O Świątnikach i Świątniczanach.

Co prawda to nie grzech, a co ładne i dobre to i opisać nie zawadzi, żeby sobie ztąd inni ludzie przykład i naukę brali. Otóż więc, zamiast tam bajać o zagranicznych jakichś cudach, wolę wam opowiedzieć, nie sięgając daleko, o Świątnikach i Świątniczanach.

Świątniki górne, jest to wieś o półtory mili od Krakowa położona, a jako wiecie krakowska ziemia jest śliczna, więc i w Świątnikach nie brzydko sobie wygląda. Wieś ta należała dawniej do biskupa krakowskiego, więc też Świątniczanie mieli obowiązek pełnić służbę przy kościele na zamku w Krakowie, mieniając się po kilku; zato zaś nie odrabiali pańskiego.

Długo to tak było. Aleć, skoro cała nasza Ziemia przeszła w ręce obcych, tak i Świątniki przestały być biskupiemi, a nastał w nich nowy pan. Świątniczanie, trzeźwi i pracowici ludzie, nie mieli ani jednej karczmy u siebie, więc temu dziwował się nowy pan, i umyślił wybudować karczmę i osadzić ją żydem. Zlękli się tego Świątniczanie i myślą jak-by tu zaradzić; a każdy aż pocierpał na samą wspominkę karczmiska, boć to lud mając trunki pod nosem gotów się i rozpić. Myślą więc: niech co chce będzie, a my karczmy postawić nie damy! Więc skoro pan jeno zwiózł budulec na karczmę, to moi Świątniczanie, cichaczem w nocy, het za wieś wszystko wywieźli; zwieźli drugi raz, a Świątniczanie dalejże mu to samo: więc nareszcie pan, sprzykrzywszy sobie taką do niczego furmankę, dał pokój wszystkiemu.

Więc tą razą Świątniczanie postawili na swojem, a na znak tej historji leżało jeszcze długo za wsią wywiezione

drzewo, i dziś tam żydowskiej karczmy nie znajdziesz choćby na lekarstwo.

Aleć nie z tej historji są Świątniki takie dziwne, żeby aż o nich pisać; oj nie z tego moi ludzie, ale z tej przyczyny, że tam cała wieś, składa się z pracowitych rzemieślników, co już od dawna, het z polskich czasów ślusarką się trudnią. Jak jeszcze nasi potrzebowali to zbroic to szabliny lub innego żelaziwa, to Świątniczanie het niemało tego do Krakowa dostawiali; wyrabiali oni bowiem szable, zbroice na człeka i konia, okucia różne, łóżka żelazne, i tym podobne rzeczy. Teraz atoli wyrabiają Świątniczanie same prawie kłódki; znać dzisiaj bardziej trzeba przed ludźmi zamykać jak dawniej, kiedy na marne kłódki największy odbyt.

Nie było tam pierwej jak się patrzy ładu w rozsprzedawaniu tych kłódek: Kilku lub też kilkunastu co majętniejszych Świątniczan zakupywali kłódki każdy na swoją rękę, i każdy też je z osobna po targach i jarmarkach jeżdżąc sprzedawał. A że to jak zwykle jeden od drugiego więcej chciał utargować, więc się kłócili między sobą, i każdy chciał taniej towaru się pozbywać. Aleć prawda to niezbita, że gdzie się dwóch kłóci, tam trzeci korzysta, więc i między Świątniczanów wleźli inni, obcy kupcowie i korzystali, a oni podupadli tylko i stracili.

Owóż-ci więc te swary nauczyły ich rozumu. Powiedzieli sobie: na cóż ma z nas kto korzystać, kiedy my sami żyć możemy z poczciwego zysku? I tak się rozmyślawszy podali sobie Świątniczanie ręce do zgody, i postanowili razem towar zakupywać, i wspólnie go po świecie rozwozić, a potem się też razem albo zyskiem albo stratą obdzielać. W ten sposób pozbyli się wnet kłopotu z innymi kupcami, i łatwiej im co skorzystać przychodzi.

We wszystkich dobrze urządzonych i bogatych krajach siła ludzi zatrudnia się handlem i przemysłem, i dlatego dobry ich byt i szczęśliwość coraz bardziej wzrasta. U nas tylko mało ludzi chwyta się handlu i różnych profesyi rzemieślniczych, toć to wszystko mają w rękach albo żydzi albo niemcy, a my nie z innej przyczyny jeno z lenistwa do niczego się nie bierzemy, boć Świątniczanie żywym są przykładem, żebyśmy

mogli, gdyby się nam chciało. Owóż Świątniczanie sami się w ślusarskiem rzemieśle i w handlu prowadzą, a nie chodzi tu o pięć czy dziesięć kłódek, lecz o całe tysiące, boć mają ci oni do czynienia z różnymi zagranicznymi kupcami, a kłódki ich rozchodzą się het za góry po Węgrach aż do samej Turcyi. Dla tego też Świątniczanom dostatnio i wesoło przy uczciwej pracy, a mnie tylko dziwi, dlaczego to tak rzadko u nas wsie czy miasteczka rzemieślnickie się trafiają. Dobrze jest przy roli pracować, i większa część ludzi roli się też trzymać powinna, jako że kraj nasz jest rolniczy; aleć lepiej by było, żebyśmy sobie przytem sami wszystko robili co nam jest potrzebne, a nie wysyłali zato pieniędzy z domu do cudzych krajów, albo co i gorzej, cudzoziemcom handlu naszego w ręce nie dawali, bo oni także zbogaciwszy się naszą pracą, pieniądz het ze sobą do czarta wywożą!

Z świętą wiarą i przykazaniami bożemi w sercu, umieją też Świątniczanie na dobre swych dostatków używać. Owóż własnym kosztem bez niczyjej pomocy, postawili oni we wsi rodzonej wielki, murowany kościół, a taki udatny, że ci chyba w Krakowie drugiego podobnego szukać. Miło im też tam patrzeć na to dzieło wystawione z pracy rąk swoich, miło im wracającym z drogi zobaczyć już zdaleka wznoszące się wieżyce kościoła, i słyszeć dźwięki dzwona, co ich mile wita czystym swym głosem; i miło im być w tej świątyni pańskiej, gdy przy uroczystościach lud pobożny nawet z odległych okolic pomieścić się może, i razem ź nimi modły do pana Boga zasyła i słucha słów Jego. Jest też więc z tego i korzyść nie mała, obok wielkiej zasługi przed Bogiem.

Nie pisze się to tutaj dla Świątniczan, aby się broń Boże w dumę czem mieli wzbijać, bo duma i pycha do wszystkiego złego prowadzą; ale pisze się, aby pokazać niedbałym i niezapobiegliwym ludziom, jak się obowiązki swoje ku ludziom i ku Bogu wypełnia.

Aleć jako na jasnem słońcu są plamy, tak i w Świątnikach jest jedno złe, o czem zapomnieć nie można, a toć właśnie to, że nie ma żadnej szkółki dla dzieci. Powinni oni to sami czuć dobrze, że skoro dzieci ich dorosną czegoś im nie dostaje; że

młody chłopak nauczywszy się jako tako kłódkę skleić, więcej już nic nie umie; że ten chłopiec gdyby umiał tylko czytać i pisać, toby już był w swem rzemiośle poradniejszy, i niejedno lepsze i sztuczniejsze mógłby sobie zaprowadzić, boć to ludzie swoje wynalazki w książkach spisują, więc tam niejednego ciekawego można się dowiedzieć. Teraz tylko niektórzy, co zamożniejsi wysyłają dzieci do Krakowa, bo to zawsze siła kosztuje; więc lepiej by było, gdyby wszystkie dzieci jak są, w domu się już poduczać mogły. Jest to więc bardzo naganna taka niedbałość o naukę swoich dzieci, ale da Bóg, a dobrzy ludzie mają tę nadzieję, że Świątniczanie i w tej sprawie zaradzą.

Szkoda by było tyle dobrego, gdyby to potem ciemnotą waszych dzieci upaść miało mili Świątniczanie! Pokażcież więc fundując szkołę, i oświecając się nawzajem, że Polak nie tylko po szkodzie, ale i przed szkodą mądry! —

Rady gospodarskie, o chudobie.

Czy lepiej koniom dawać owies przed, czy po pojeniu.

Nie to konia żywi co on zjada, ale to co przetrawia; potrzeba więc mu dawać pokarm w stanie najwłaściwszym do trawienia. Dla tego przygotowujemy paszę przez rznięcie słomy na sieczkę, gniecenie zboża i tym podobnie. Trawienie jak wiadomo, odbywa się głównie w żołądku, zatem pożyteczniej będzie, gdy pokarmy w żołądku dłużej pozostaną. Przed dziewięciu laty zrobiono w jednej szkole rolniczej doświadczenie, które przekonało, że zwyczaj dawania koniom owsa zaraz przed pojeniem jest zły i szkodliwy.

Wzięto w szkole dwa konie przeznaczone na naukę uczni. Jednemu dano garniec owsa, i gdy go zjadł, zaraz wiadro wody. Po ostatnim łyku wody, zabito go i otworzono; i patrzcież! oto w żołądku ledwo kwarta się była pozostała; trzy kwarty już woda daleko była uniosła, a zatem niestrawione trzy części ziarna żadnego koniowi nie byłyby przyniosły pożytku.

Z drugim koniem postąpiono sobie zupełnie przeciwnie. Dano mu najpierw wody, a potem garniec owsa. W dziesięć minut

otworzono żołądek, i znaleziono w nim wszystek owies, który już zaczął przechodzić w trawienie; a więc wszystek owies spożyty obrócił się na korzyść konia.

Widzimy przeto jasno, że obrok powinniśmy koniom dawać dopiero po pojeniu, a nigdy przed pojeniem.

Jeszcze jeden nałóg radbym wykorzenić, to jest dawanie owsa i siana zaraz po powrocie do stajni, gdy konie jeszcze od pracy lub jazdy są zgrzane. Wygłodzone chciwie połykają owies prawie bez przeżucia, z czego powstaje niestrawność, a owies dobrze niestrawiony mało się przyczynia do żywienia,

I dlatego konie powracające z roboty, spocone i zdyszane, należy pierw mocno wytrzeć wiechciem słomianym, okryć i zaczekać, dopóki nie wypoczną; — potem dać im nieco siana, a dopiero w pół godziny mniej więcej trzeba je napoić i po napojeniu zaraz im obrok zasypać.

Oto są doświadczenia nowe, z których i wy korzystajcie, bo doświadczenia i pisma są dla waszej korzyści. —

(Sz. N.)

Jak bydło najkorzystniej przezimować.

Wiele już pisano w rozmaitych rolniczych pismach o tem, jak bydło paść zimową porą najkorzystniej, aby więcej mleka wydawało, prędzej mięsa nabierało, lub też lepiej podrastało. Wszystkie te pisma wzięły jednakowoż po większej części za podstawę, albo rozmaite warzywa, albo makuchy, ospę, wywar, lub inną podobnie dobrze działającą paszę. To wszystko podług mego zdania dla was, moi mili gospodarze, za kosztowne, i tylko zwolna do takiego paszenia przychodzić możecie. Tu więc myślę was głównie w tem pouczyć, jak przy paszy, którą zwykle pasiecie, i którą też w własnem macie gospodarstwie, najlepiej i najkorzystniej swe bydełko przezimować.

Jest to prawie ogólnym waszym zwyczajem paść bydło sieczką, i to rzniecie wszystką słomę, a nawet i siano pospół. A potem sypiecie bydłu naraz tyle sieczki, ile się w koryto zmieści; a gdy jej bydło zupełnie nie wyżre, dosypujecie potrosze na nowo, aby pomięszawszy ją z pozostałą, smaczniejszą ją uczynić, a nawet przez ciągłe poruszanie bydła chcecie je przymusić, aby ją do szczętu zjadło. To jest wielki wasz błąd, który macie zaraz zaniechać; tylko mnie słuchajcie!

Każde bydle zdrowe wszystko od razu z chęcia pożera, dopóki się nie nasyci; a co pozostanie w korycie, do tego z trudnością wielką da się przymusić; a przez częste przysypywanie sieczki i poruszanie bydła, nie tylko że nigdy z chę-

cią, lecz nawet często z głodu tylko do jadła się zabiera; i nie mając dostatecznego czasu do przeżucia zjedzonej paszy, żadnej korzyści nie odnosi. Przeto wam radzę, abyście pasienie bydła zimą w następujący sposób urządzili:

O godzinie szóstej, kiedy zwykle dój się rozpoczyna, daj krowom zupy lub warzywa w kawałkach potrosze, a potem nasyp drobno i porządnie urzniętej sieczki, w równej ilości z wszystkich gatunków słomy, jaką na sieczkę przeznaczysz; ale tyle tylko wsyp jej w koryto, ile uważasz, że od razu czysto wyżre. Jeżeli zaś bydło jej zupełnie nie wyżre, pozostałą sieczkę wyrzuć, a nasyp na drugi raz mniej; potem zostaw bydło w spokojności zupełnej; najlepiej zamknij oborę, aby kto inny mu nie przeszkadzał, i wcale go nie spędzał. O godzinie dziewiątej daj mu cokolwiek siana, po chwili napój, i znów zamknij oborę. O dwunastej w południe nasyp sieczki; o trzeciej daj mu trochę targanej słomy, a o szóstej wieczorem, tak jak rano, zupy lub warzywa do doju, a potem sieczki na noc. A po każdem daniu zalecam wam szczególnie spokojność, aby bydło miało czas do przeżucia tego, co zjadło. Przed każdem zaś daniem wymiećcie czysto koryta, albo wiechciem ze słomy, albo też miotłą do tego przeznaczoną, bo czystość wiele dopomaga do dobrego utrzymywania bydła.

Pasienie wołów i bydła młodocianego w tym samym porządku odbywać się powinno; tylko z tą różnicą, że woły nic w zimie nie robiąc bez warzywa obyć się mogą. Młodocianemu zaś bydłu należy do sieczki przymięszać cokolwiek zgonin lub plew owsianych, i wybierać mu jak najlepsze siano, aby przez niedostateczną paszę wzrost jego nie był wstrzymany, boć od tego zależy też i siła wołu i dobroć krowy.

Powie może niejeden z was, że przez pasienie samą sieczką o wiele mniej słomy wychodzi; ja temu zupełnie przeczę, bo w wielu najlepszych gospodarstwach wcale sieczką nie pasą, tylko słomą, i dobrze na tem wychodzą. I wy się o tem możecie sami przekonać. Odłóż tylko pewną ilość słomy i siana przeznaczoną na sieczkę na dzień jeden, z tego weź trzy części i porznij, a dwie takie części odłóż i spaś w słomie i sianie: a przekonasz się, że temi dwoma częściami wystarczysz; ztąd zyskujesz trzecią część słomy. Paście przeto wszyscy zimą bydło tym sposobem, jaki wam podałem, a przeto i na słomie zyskacie, i lepsze będziecie mieli bydło, albowiem bydło przy urozmaiceniu paszy smaczniej zajada i lepiej wygląda. —

(*Ziemianin.*)

RÓŻNOŚCI.

Jako jenerał Garibaldi wyratował jeden statek na morzu. Słyszeliście wy już zapewne o sławnym włoskim jenerale Garibaldi, który jest jakoby też prosty chłop, tak ci nie dużo i w ubiorze i w jedzeniu potrzebuje, chociaż co prawda że umie na książce, i około pióra praktykant, choć niewielki. Otóż ten jenerał Garibaldi to jest taki, co jeno w koszuli chodzi i kozy pasie, a jak butów to chyba w drogę albo do wielkiego miasta używa, kiedy mu na sejm jechać przypada; chociaż on się od deputacyi wymawia, jako to jest głupi chleb, a osobliwie dla takiego co o niczem nie wie. Więc ten Garibaldi jenerał to ma chałupę na takiej wyspie na morzu maluśką, aby na jednego człowieka, i przystawkę na kozy, i w tej to chałupie sobie siedzi; zaś wyspa to jest taka, co na niej drzewa nie rosną i ledwie że się koza pożywi, jako to jest takie zwierzę co się lada czem obejdzie. Wysepka jak piąstka, i na kamieniu kamień i nic więcej; a dlaczego on tam siedzi, kiedyby przecie jako jenerał mógł sobie ładną kamienicę zakupić w mieście, i żeby tylko pisnął, to Włochy co go okrutnie kochają, skoroby się zlecieli, toby mu taki dom wybudowali jak samemu królowi, albo i jeszcze piękniejszy. Ale jemu o to nie idzie, bo on woli ryby łapać jako to jest rybak bardzo mocny, i cała jego uciecha to kiedy sobie popłynie het, het i z drugim też takim koziarzem na morze, gdzie się ryby przewracają, mający sobie gdzie hulać bo morze straszne.

A no tak widzicie płynął sobie jeden statek wedle wyspy, gdzie Garibaldi siedzi, a ten statek się nazywał *Pintada*; co żeby się tak u nas nazywał, toby się z tego śmieli, ale że to po włosku, to cóż nam tam do tego. Należał ci ten statek do jednego Francuza co też na nim chorągiewkę francuzką wywiesił, która jest czerwona, niebieska i biała, a ten co jechał zwał się Nikolini, i płynął sobie od jednej wyspy do drugiej za węglami. Aleć jak przypłynął na pewne miejsce, co się nazywa *moneta*, tak się trafiło co się straszne wiatry porwały, i morze zaczęło igrać tak co niech Bóg broni, bo jak się morze rozigra, to tam żartu niema: albo się uratujesz, albo zginiesz; chociaż największy okręt to jak złapie, jak nim huknie o skałę, to porozbija na drobne drzazgi i ludzi i bydło i wszelką rzecz, tak, że się rzadko kiedy kto na brzeg wydostanie, i to tylko za Bożem zmiłowaniem, a z odzienia i z każdego włosa woda dziurgiem rznie co aż strach. A no jak ten biedny Nikolini już tylko co się miał rozbić takci mu Pan Bóg na pomoc zesłał onego rybaka, co jest i jenerał razem i koziarz, jak kiedy czego trzeba. Widząc tedy Garibaldi że ten człowiek utonąć już musi, jak ci da nogą po morzu — tak zaraz dopadł do tego tam stateczku: Stój! a to nie tędy, jeno na prawo, potem na lewo, jak zacznie manewrować, próbent dobry, jedzie het, raz koło jednej skały, potem koło drugiej, kędy wiatr nie tak bardzo dochodził, i zaraz tam było spokojniej, a wszystko to jak najlepszy majtek, co się już z morzem zna. Więc biedny Nikolini myśli sobie:

— A to dziwo nie człowiek! A żebymci to ja takiego chłopa miał na moim statku, toby mi się przydał bardzo! — Ale nie mówi nic tylko tak sobie myśli; dopiero jak wypłynęli na spokojne miejsce, tak on przewodnik zawoła:

— Hej patrzcie tam już wyspa, możecie sobie teraz spokojnie płynąć, bo już tam będzie bezpiecznie

aż do samego końca, jeno się zawsze brzegu trzymajcie; brzegu, brzegu, żebyście na wielkie morze nie wypływali!

A no, tak Nikolini pawiada:

— A mój człowieku, a tożeście mię z nieszczęścia wyciągnęli, to przecie wam jestem powinny do zapłacenia.

Ale Garibaldi nic a nic ani grosza:

— A co się tam będziecie szkodować! —

— Ta chociaż szklaneczkę wina wypijcie albo essencyi! — bo we Włoszech to same wino piją, ale czasem też takie, coby i koza beczała gdyby jej nalał. Więc kazał Nikolini wyciągnąć co tam miał najlepszego na spodzie we swoim statku.

— O! już tego to nie — odpowiedział pokłoniwszy się Garibaldi — jako ja nie piję nigdy nic innego jeno wodę, bom się odprzysiągł jeszcze od maleńkości. —

— To i jakże będzie? zapłaty nie chcecie ani poczęstunku, to mi przynajmniej powiedzcie jak was zwą?

— Ta ja tutaj mieszkam na tej wysepce *Kaprera* gdzie tam na roli pracuję! — (śliczna mi rola, co czysty kamień a gorący jak węgiel) zaś potem wskoczył we swój stateczek rybacki, i szmurrr... poszedł jak ryba po wodzie, a Nikolini jakby zgłupiał i myśli sobie: — A to wyraźny cud Bozki; — i patrzał się za nim, czapkę zdjął i sam nie wiedział czy się żegnać, czy Panu Bogu dziękować czy co; a jenerał Garibaldi z daleka jeszcze pokazał mu wiosłem jak ma płynąć.

Tak ci więc płynący i płynący, przypłynął statek do wyspy gdzie węgle brali. Ludzie na brzegu stoją, ha no, tak Nikolini dopiero opowiadać jak, co, a ludzie się pytają z ciekawości:

— A pamiętacie jak wyglądał ten człowiek?

— Ha cóż, krzepki chłop, broda gęsta, żółte włosy, na głowie też włosy długo zapuszczone jak u górala, spodniska z drylichu, koszula czerwona i chusteczka przez plecy pod pachą zawiązana, buciska okrutne srogiemi gwoździami nabijane, a z oczów to mu dobrze patrzyło, tak co i miło było patrzeć na tego człowieka.

— Dopiero ci ludzie we śmiech; jak się wezmą śmiać, tak Nikolini zgłupiał: bo to jak się wezmą śmiać z kogo, to naprzód człowiek zgłupieje, a potem go złość ogarnia i mówi: A zjedliście wy tyle a tyle, a z czegoż wy się naśmiewacie? A jeden co najrozsądniejszy powiada:

— Panie Nikolini, zapisz sobie wasan ten dzień i godzinę, bo to jest dzień w którym nietylko żeście statku nie stracili, ale jeszcze wam dowodził sam jenerał Garibaldi! —

Otóż to widzicie we Włoszech tacy są jenerałowie; a bodajby się taki na kamieniu rodził!

Pożar. Dnia 14. zeszłego miesiąca paliło się w miasteczku *Sieniawie* w obwodzie przemyskim. Płomienie zniszczyły 51 domów, między temi kilka murowanych kamienic i dwie bożnice żydowskie. Szkody z tego pożaru liczą na sto czterdzieści tysięcy; a skoro zaczęli dochodzić, jakim się to sposobem zajęło, tak się pokazało że to z przyczyny jakiegoś furmana, który chcąc wyjechać w nocy z gospody popasał konie przy latarni, a odjeżdżając zostawił ją w żłobie. Czy latarnia zła była, czy też otworzona, dość że się zajęło, i od takiego marnego drobiazgu z przyczyny lenistwa jednego furmana, zwaliło się tyle nieszczęścia na biednych mieszkańców Sieniawy.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.